

„ZE LWOWA, BRACIE, ZE LWOWA”...

**TADEUSZ SZCZUDŁOWSKI – BOHATER GDAŃSKIEGO ŚRODOWISKA
ROPICIO**

Pod koniec lat sześćdziesiątych w rejonie Ustki odbywały się polsko-sowieckie manewry morskie. Formacje sowieckie i wopiści „bronili” wybrzeża przed atakiem z morza. Polski desant morski miał za zadanie wylądować na brzegu i dotrzeć do wyznaczonego rejonu. Polscy dowódcy nie ukrywali, że byłoby grzecznie pozwolić towarzyszom radzieckim na odniesienie kolejnej *pobiedy* – tym bardziej że na manewry zjechało wielu sowieckich generałów, którzy je obserwowali i nadzorowali. Stało się zadość tym pobożnym życzeniom. Cały polski desant został wylapany przez „obrońców”. Było to o tyle ułatwione, że nasi chłopcy z czerwonych beretów, nieprzyzwyczajeni do uroków morza, wyrzuceni z okrętu podwodnego trzy mile od brzegu, rzygali [?] na wszystkie strony, a ich jedynym pragnieniem w tej sytuacji było jak najszybciej pójść do sowieckiej niewoli... Manewry dobiegały końca. Po stronie atakujących brakowało co prawda jednego oficera i dwóch marynarzy, uznano jednak, że się zagubili lub utopili – takie wypadki się zdarzały. To nie przeszkodziło dowództwu manewrów w rozpoczęciu pijaństwa wieńczącego „zwycięstwo”. Tymczasem „zagubieni”, niedostrzeżeni przez sowieckich obrońców i wopistów z latarkami, powoli zmierzali do brzegu. Oficer przedziurawił trzy komory powietrzne pontonu i powyrzucał do wody wszystko, co niepotrzebne. Płynęli na jednej komorze, ryzykując życie, ale dzięki temu nie zostali zauważeni wśród morskich fal. Dotarli do brzegu i korzystając z „osłabienia czujności” obrońców polskiego wybrzeża, przeskakując między kępami krzaków, dotarli do samej komendy manewrów! Zameldowali przybycie *szpionów!* Jeden z polskich komandorów, szczególnie usłużny wobec „gości”, zamiast pogratulować odwagi i wojskowego fortelu, patrzył na swojego oficera z nieukrywaną złością i mocnymi słowami demonstrował swoje niezadowolenie. Tak się zaczęły kłopoty władzy z młodym porucznikiem Marynarki Wojennej Tadeuszem Szczudłowskim, zastępcą dowódcy morskiego ścigacza.

* * *

Urodził się 22 listopada 1933 r. we Lwowie, w rodzinie legionisty i obrońcy Lwowa z roku 1918, uczestnika wojny z bolszewikami – Władysława Szczudłowskiego. Ojciec Tadeusza walczył także w wojnie obronnej 1939 r., potem złożył przysięgę w AK. Również w rodzinie matki, Marii z Kamińskich, było wielu obrońców polskich Kresów. Konieczność opuszczenia po wojnie stron rodzinnych i „repatriacji” była dla rodziny Szczudłowskich prawdziwą klęską. Na dnie serca pozostały wspomnienia ze Lwowa.

Trzeba było jednak rozpocząć nowe życie. Tadeusz trafił na Dolny Śląsk. W Jeleniej Górze ukończył w roku 1952 Technikum Przemysłowe i zdał maturę. Podczas zasadniczej służby wojskowej przeszedł kurs oficerów rezerwy łączności, na którym się wyróżnił. Właściwie nie miał wyboru. Wojsko potrzebowało ludzi przeszkolonych w łączności, jakiś sowiecki oficer, który się spotkał z absolwentami kursu, powiedział im, że są *choroszi* i że na pewno marzy im się kariera zawodowa w wojsku... Tadeusz pomyślał, że skoro ma zostać

oficerem, to prawdziwym, a nie po kursie. Jako gimnazjalista należał do Ligi Morskiej, morze fascynowało go od najmłodszych lat. Jeżeli więc ma zostać w wojsku, to jako oficer marynarki. Udało się! Został przyjęty do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Studia ukończył w roku 1958 i przez 10 lat pełnił służbę na okrętach wojennych. Kariery nie zrobił, bo do kariery potrzebne były wówczas nie tylko zdolności, ale i oddanie ideologii, którego przełożeni nie doszukali się w postawie Tadeusza. Został przeniesiony do rezerwy w stopniu porucznika marynarki wojennej.

Ponieważ miał także dyplom porucznika żeglugi wielkiej Marynarki Handlowej, chciał podjąć pracę w żegludzie międzynarodowej, ale z powodu zastrzeżeń do jego „postawy ideowej” nie wydano mu paszportu i książeczki żeglarskiej. Stanie się to dopiero w roku 1989. Do tego dołączyły się kłopoty rodzinne. Od roku 1970 samotnie wychowywał syna Piotra, późniejszego wybitnego działacza niepodległościowego, uczestnika Ruchu Młodej Polski i ROPCiO. Tadeusz dorabiał w rzemiośle artystycznym i podjął zaocznie studia historyczne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Gdańskiego, które ukończył jako magister w roku 1972.

W roku 1976 rozpoczął się nowy etap w jego życiu. Wszystko starannie sobie przemyślał. Nigdy nie improwizował, jest typem perfekcjonisty. Kiedy się do czegoś bierze, robi to dobrze i z wielką żarliwością. Postanowił zupełnie jawnie i demonstracyjnie wypowiedzieć posłuszeństwo władzy komunistycznej. W tej decyzji umocniły go niedawne studia historyczne, wzbogacane ciągle nowymi lekturami, i historia własnej rodziny. Kiedy na jesieni 1976 r. gdańscy studenci z kręgu późniejszego Studenckiego Komitetu Solidarności i RMP zbierali podpisy pod protestem przeciwko represjom wobec robotników Radomia i Ursusa, podpisał ten protest. Niczego jednak nie robił połowicznie. Podpis oznaczał pełne zaangażowanie się już nie tylko w obronę robotników, ale i w działalność opozycyjną w ogóle. Dla Tadeusza było oczywiste, że nie walczy o prawa obywatela pojmowane abstrakcyjnie, teoretycznie, lecz o realny cel, jakim jest niepodległy byt państwa polskiego.

Prawo Polaka do posiadania własnego, suwerennego państwa jest jednym z praw kardynalnych każdego człowieka. Ta świadomość przebijająca z każdego wystąpienia publicznego Tadeusza Szczudłowskiego i determinuje jego dzisiejsze opinie na temat sytuacji w Polsce. Wszystkie wystąpienia zachowały się, niektóre zostały nawet nagrane. Są dowodem wielkiej odwagi cywilnej Tadeusza, który nie wahał się mówić o suwerenności w czasach, gdy takie tematy przeznaczone były tylko na nocne rodaków rozmowy.

W roku 1977 Tadeusz Szczudłowski przystąpił do rodzącego się Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Zrobił to w sposób spektakularny, odważny, w swoim stylu. Zwrócił się do ROPCiO z... podaniem o przyjęcie jego mieszkania na gdańskiej Morenie, przy ul. Zabłockiego, na punkt konsultacyjny Ruchu! Nie trzeba tłumaczyć, że zdecydował się w ten sposób na pełną inwigilację, nieproszonych gości, na represje. Stał się osobą publiczną, napiętnowaną przez władze, które nienawidziły go tym bardziej, że był żywym dowodem słabości wojskowej szkoły janczarów. Nie raz usłyszał od esbeka złowrogą przestrożę, że byłemu oficerowi Układu Warszawskiego takich rzeczy nie wolno robić. Był wielokrotnie przeszukiwany, aresztowany i pobity.

W mieszkaniu Tadeusza Szczudłowskiego znajdował się Punkt Konsultacyjno-Informacyjny ROPCiO, odbywały się spotkania, podczas których mieszkanie było pełne ludzi. Pamiętam, że w czasie spotkania z Markiem Skuzą mogłem tylko z korytarza wychylić głowę do pokoju, by lepiej słyszeć. Bywali tu znani opozycjoniści: opiekun duchowy studentów z gdańskiego SKS, o. Bronisław Sroka SJ, cichociemny ppłk Marian Gołębiewski, Wojciech

Ziemiński, Makary Sieradzki, dr Eugeniusz Myczka (bliski współpracownik Stanisława Mikołajczyka), Leszek Moczulski, Karol Głogowski, Jacek Bartyzel i wielu innych. Mimo niewielkiej przestrzeni była to oaza wolności, a Tadeusz Szczudłowski wydawał się każdemu z nas jakby człowiekiem z innego świata.

Bywał na spotkaniach gdańskich studentów ze środowiska SKS i RMP. Był bardzo szczęśliwy, że młodzi ludzie kontynuują pracę niepodległościową. Szczególnie zżyty był z Darkiem Kobzdejem, młodszym od niego o 21 lat studentem Akademii Medycznej w Gdańsku. Łączyło ich lwowskie pochodzenie i wspólna organizacja Mszy św. w intencji Ojczyzny w gdańskiej bazylice NMP, przemarsze pod pomnik Jana III Sobieskiego i manifestacje patriotyczne 3 maja i 11 listopada. Ten pomnik też był ze Lwowa... Po okresie „internowania” w Warszawie, w latach sześćdziesiątych Jan III Sobieski trafił do Gdańska. Marian Hemar z odległego Londynu napisał na ten temat piękny wiersz, bo Hemar też lwowiak...

Po kolejnej manifestacji, podczas której domagano się pełnej prawdy o Katyniu, 3 maja 1980 r. Tadeusz, razem z Darkiem Kobzdejem, został aresztowany. W trybie doraźnym skazano obydwu na 3 miesiące więzienia za „szkalowanie” PZPR i „władzy ludowej”, podważanie sojuszu z Sowietami i „zakłócanie porządku publicznego”. Siedzieli w gdańskim areszcie przy Kurkowej, gdzie w lipcu 1917 r. Niemcy więzili brygadiera Józefa Piłsudskiego oraz późniejszego premiera i generała, Kazimierza Sosnkowskiego. Cella Darka znajdowała się tuż obok dawnej celi marszałka. Podczas odbywania kary obydwaj głodowali. Na wol-



Zdjęcie jedyne w swoim rodzaju, wykonane „nielegalnie” przez Mieczysława Domańskiego podczas rozprawy rewizyjnej w gdańskim Sądzie Rejonowym, w maju 1980 r. Kiedy Domański wysunął aparat spod poły płaszcza, sędzia i prokurator tego nie zauważyli. W ostatniej chwili spostrzegli to milicjanci. Trzej z nich ze wstydu pochowali głowy, widać tylko czapki... Na ławie oskarżonych z lewej Tadeusz Szczudłowski, z prawej Dariusz Kobzdej. W ławie obrońców Władysław Siła-Nowicki i Jacek Taylor.

ności trwała akcja, organizowana przez RMP, o uwolnienie więźniów. W bazylice NMP w Gdańsku modlono się w tej intencji.

Wyszli 4 sierpnia. Dziesięć dni później zaczął się Sierpień. Tadeusz natychmiast zjawił się w stoczni – razem ze swoim synem Piotrem. Wspólnie z młodymi stoczniowcami w niedzielę 17 sierpnia, w momencie krytycznym dla całego strajku, postawili wielki drewniany krzyż przed bramą nr 2, gdzie w roku 1970 zginęli pierwsi stoczniowcy, jako kamień węgielny pod przyszły Pomnik Ofiar Grudnia 1970. Krzyż ten dał nadzieję około dwu tysiącom gdańskich stoczniowców – którzy w przeddzień opuścili stocznię. Niektórym było wstyd, że zabrakło im wiary, więc teraz nie wchodzili przez bramę, tylko skakali przez płot i szybko dołączali do strajkujących kolegów. Wrócili na strajk, tym razem już solidarnościowo! Tego samego dnia ks. Henryk Jankowski odprawił Mszę św. dla strajkujących.

Tadeusz należał do tych, którzy nie godzili się na żadne półśrodki i energicznie zabiegali o kontynuację strajku aż do osiągnięcia celu, jakim były wolne związki zawodowe. Tadeusz spodziewał się, że taka struktura – bezprecedensowa w państwie „realnego socjalizmu” – stanie się narzędziem walki o cel najważniejszy – niepodległość. Współredagował 21 stoczniowych postulatów, wyklócał się z każdym, kto chciał je łagodzić, cenzurować. Podkreślał aspekty polityczne strajku, szerszą perspektywę celów do osiągnięcia. Nie wszystkie jego postulaty uwzględniono. Sprzeciwiał się m.in. zapisowi w porozumieniach sierpniowych o „kierowniczej” roli PZPR w państwie, „nierozzerwalności” systemu „socjalistycznego” i „obowiązujących sojuszy międzynarodowych”, czyli sowieckiego zniewolenia. Na I Zjeździe „Solidarności” (był jego gościem honorowym) wzywał do wyeliminowania takich zapisów z dokumentów związkowych. Stopniowo jednak, jako „ekstrema”, był odsuwany od związkowych gremiów przez esbecką agenturę, ale też przez późniejszych kontrahentów „okrągłego stołu”.

W stanie wojennym został uznany za szczególnie niebezpiecznego. Ścigano go listem gończym, bo nie dał się internować. Został aresztowany na początku stycznia 1982 r., wraz z synem Piotrem. Piotr został przewieziony do więzienia w Łławie, Tadeusz trafił do obozu w Strzebielinku pod Wejherowem, gdzie był dobrym duchem internowanych. Z jego inicjatywy powstał zachowany do dziś wielki krzyż internowanych, dzięki niemu duch oporu trwał. Odwiedzający internowanych członkowie rodzin witani byli organizowanymi przez Tadeusza śpiewami patriotycznymi, do których się przyłączali... W barakach dochodziło do manifestacji, podtrzymujących na duchu uwięzionych.



Fot. Stanisław Markowski

Tadeusz Szczudłowski w sporze z Lechem Wałęsq, w przeddzień podpisania porozumień sierpniowych. Spór dotyczył umieszczenia w porozumieniach zobowiązań politycznych wobec komunistów.

Po wyjściu z internowania nie zaniechał działalności. Bronił więźniów politycznych, organizował pomoc dla ich rodzin. Szedł z krzyżem na czele pochodu, który 10 maja 1988 r. wymaszerował ze strajkującej Stoczni Gdańskiej do kościoła św. Brygidy.

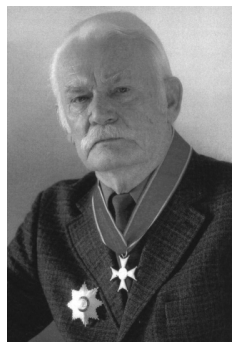


Fot. Andrzej Dzwonowski

Wyjście strajkujących ze Stoczni Gdańskiej wieczorem 10 maja 1988 r. Scena niby znana, a jednak nieznaną... W oficjalnych publikacjach na czele pochodu idą, trzymając się pod ręce, Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki. W rzeczywistości pochód otwierał Tadeusz Szczudłowski z wielkim drewnianym krzyżem, symbolem tego zwycięstwa...

Tadeusz Szczudłowski ma krytyczny stosunek do przemian, jakie zaszły w Polsce po 1989 r. Nie odzwierciedlały jego niepodległościowych ideałów. Może dlatego nie jest dziś w kraju tak znany jak wielu niegdysiejszych, często mniej zasłużonych dla sprawy opozycjonistów. Nawet jego krytycy polityczni podkreślają jednak, że jest człowiekiem szlachetnym, ideowym, zasługującym na najwyższy szacunek.

Kiedy ostatnio rozmawiałem z Tadeuszem Szczudłowskim o jego wystąpieniach z lat siedemdziesiątych pod pomnikiem Sobieskiego w Gdańsku, zwierzyłem mu się: „Panie Tadeuszu, patrzyłem wtedy na pana jako student; słuchałem pana słów, za które można było pójść do więzienia lub zginąć» w niewyjaśnionych okolicznościach«, i zawsze się zastanawiałem: »skąd on się taki wziął«?... Popatrzył na mnie z uśmiechem, ale jednocześnie z jakąś pewnością, że zadałem ważne pytanie: „Ze Lwowa, panie Piotrze, ze Lwowa”...



Chwila satysfakcji i refleksji nad tym, co było.
3 maja 2006 r.
Prezydent RP
Lech Kaczyński
odznaczył Tadeusza
Szczudłowskiego
Krzyżem
Komandorskim
z Gwiazdą Orderu
Odrodzenia Polski